

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 39

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{11}{23}$ czerwca 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartal.
rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Ks. Jędrzej Kitowicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Dowódca chorągwi hussarskiej (z drzeworytem). — Klasztor Oliwa pod Gdanskim (z drzeworytem). — Pomnik Stanisława Jabłonowskiego we Lwowie (z drzeworytem). — Dwa westchnienia, obrazek przez anonima (dalszy ciąg). — Chwila żartu i pustoty dokonczenie (z pięcią drzeworytami). — Rebus.

Ks. Jędrzej Kitowicz.

W lat siedmnaście po zgonie Kitowicza, imię jego pierwszy raz odbiło się w piśmiennictwie naszym. Kazimirz Brodziński, w pamiętniku warszawskim, ogłosił z rękopisu wyjątki z opisu zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III. W kilkanaście lat później Edward hr. Raczyński zapoznał nas z historycznymi pracami Kitowicza, jak następnie professor Popliński' wydaniem pamiętników z lat ostatnich panowania Stanisława Augusta. Cały zbiór pism jego obejmuje dziesięć tomów.

1. Pamiętniki do panowania Augusta III i pierwszych lat Stanisława Augusta przez nieznanego autora, wydane z rękopisu. Poznań 1840, 3 tomy w 12ce. (Równocześnie w jednym tomie w 8ce wydał je A. Wojkowski p. n. Pamiętniki do panowania Augusta III i Stanisława Augusta, z rękopisu ks. Andrzeja Kitowicza. Poznań 1840 r.)

2. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III, księdza Kitowicza, 4 tomy w 12ce, Poznań 1840 r. (Dzieło to przedrukował B. M. Wolf w Petersburgu 1855 w 4 tomach w 12ce i na czele dodał życiorys autora, skreślony przez K. Wł. Wójcickiego.

3. Pamiętniki księdza J. Kitowicza do panowania Stanisława Poniatowskiego, z manuskryptu dotąd drukiem nieogłoszonego, 3 tomy w 12ce, Poznań 1845 roku. Temi pracami zajął poważne stanowisko w literaturze naszej.

Jędrzej Kitowicz urodził się w listopadzie 1728 r. Matka jego, urodzona za czasów Jana Sobieskiego w r. 1693, w trzydziestym roku życia poszedłszy za męża, pierwsze powiła bliźnięta, po nich córkę Ludwikę, po której urodził się nasz dziejopis. Przeżyła męża i w stanie wdowim cztery lata z górą zostawała; zmarła w 60 roku życia 1753 r. w listopadzie. Już był pełnoletnim Jędrzej, bo miał skończonych lat 21, gdy go ojciec w r. 1749 odumarał. Ostatnie chwile jego śmierci musiały silnie i bolesnie wywrzeć wrażenie na młodym umyśle syna, gdy w 52 lat później pisze do swjej siostry.

„Ile razy wspominam sobie śmierć ojca naszego, który pięć dni konał, lękam się takiego zgonu.“

W młodych latach służył dworsko (jako sam pisze) podług zwyczaju ówczesnego szlachty mniej zamężnej, gdy jeszcze dwory magnatów polskich jaśniały wystawą i przepychem. Kiedy zawiązała się kon-

federacya barska, stanął pod jej chorągwią, ale z tego okresu żadnych nam nie zostawił wiadomości o sobie; po przyjaźni tylko jaką miał z jednym z naczelników tej konfederacyi, regimentarzem Zaremą, wnosić z pewnością możemy, że służył pod jego dowództwem. Ale wcześniej, przed jej rozwiązaniem, porzucił szablę i przywdział zakonne suknie.

W tym potrójnym zawodzie życia, nabył praktycznego wykształcenia. A najprzód widać, że był doświadczonym gospodarzem. Biskup kujawski, Antoni Ostrowski, zamyśla wieś kupić; wzywa Kitowicza, aby wartość jej oszacował i intratę wyciągnął. Przez dłu-

brze hodować i do właściwego pola ułożyć. Obarczony już laty, w sędziwym wieku, siedząc na probostwie w Rzeczyca, niezapomniał rozrywki myśliwczej: miał ulubioną strzelbę ptasznicę, z którą czasami polował na ptastwo i zające. Przyjaciel jego i dobroczyńca, ksiądz referendarz Lipski, potrzebuje wina: niema jak Kitowicz, który je wybierze, kupi, wyklaruje. Jakoż kupuje, nalewa na stary lagier. „Zdziwiłem się (pisze wielce uradowany do referendarza) skosztowawszy, że wino tłuste, stare, które przeszłego roku było dobrze nadkwaśniałe, teraz najmniejszego nie ma kwasu, owszem, słodczy, tłustość i dryakiew dziwnie przyjemną. Słowem *bibilissimum* jest.“

W roku 1771, w październiku, już widzimy Kitowicza w seminarjum pijarskiem. Wyświęcenie jego doznawało niejakich trudności, a biskup kujawski po dwakroć musiał pisać do Rzymu o dyspensę dla niego. W młodości swjej był na dworze Antoniego Ostrowskiego prymasa. Księdza Lipskiego, pisarza koronnego a później referendarza, mieni być szczególnym swoim dobroczyńcą. „Dla niego (pisze) i drzwiami skrzypać miłoby mi było, byle to miało pozór przysługi.“ Nie zapomniał Kitowicz dobrodziejstw sobie świadczonych, gdy w testamencie przeznacza sześć tysięcy złotych polskich kapitulę wolborskiej. „A to na anniwersarz czyli rocznicę za duszę świętej pamięci Antoniego Ostrowskiego, prymasa niegdyś korony polskiej, i Michała Lipskiego, sekretarza wielkiego koronnego, których dobrodziejstwa jako byłem uczestnikiem za żywota i prawie cały majątek z ich łaski powstał, tak chcę aby wdzięczność moja ku nim, przez cały trakt życia mego ich duszom okazywana, różciagała się dla nich i po śmierci mojej.“

Karol Steńkiewicz, który miał sposobność kilkasiet czytać własnoręcznych listów Kitowicza, wybornie go scharakteryzował. „Górującą w nim namiętnością (pisze) było zbierać i rozsiewać nowiny publiczne. Mieszkając w Warszawie, ma do tego obszerne pole, wie co się dzieje w najtajniejszych zakątkach, przewiduje na co się zanosi. Odradza Lipskiemu, aby w trudnych *konjunkturach* nie kwapił się do stolicy; dyktuje mu jak i do kogo ma pisać z ekskuzą. Zakłopotany regimentem konfederacyi barskiej Zaremą, po swojej *submissyi*, znajduje w nim doradcę, gdy przyszło pisać do posła pruskiego. Polityk starego kroju, Kitowicz w opiniach swoich nosi wybitną cechę czasu w którym żył i stronnictwa do którego należał. W oczach jego wolność bez *liberum veto* obejść się nie może. Podejrzliwym okiem pogląda na wszystkie reformy, nie cierpi ich propagatorów. Mimo to nie pokoja go burdy sejmi-



Ks. JĘDRZEJ KITOWICZ.

Rysował Elias, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

gi czas zajmował się rachunkami w dobrach tegoż biskupa.

„Zaprząłem się do tej roboty (pisze) jak do pług, ale cóż, porzucić tego nie mogę, bez ruiny spodziewanego szczęścia, a najwięcej po różnych stratach bez ruiny pozostałego przy mnie dobrego imienia.“

Jako żołnierz i dzielny jeździec, był znawcą doskonałym koni: ich cnoty, zalety, defekta i końskie facyendy, wszystko to znał na palcach. Doświadczony myśliwiec, wiedział jak psy w kniei założyć, jak rozstawiać obławę, gdzie pewne przesmyki, na które zwierz wypadnie, jak wybrać szczenię, jak je do-

Kronika tygodniowa.

kowe, zgiełki trybunalskie, hulatyka Radziwiłła. W konfederacji w której miał udział, obok szlachetnego zapachu, widzi oplakane mizerye intrygantów, zaczyna być sceptykiem politycznym, składa miecz, wstępuje do klasztoru. Suknia nie w nim nie zmienia.

Od chwili przyobleczenia sukni zakonnej, przez lat 17 nie mamy żadnych o Kitowiczu szczegółów, w pozostałych nawet papierach u jego rodziny, z których głównie treść życiorysu niniejszego czerpiemy, głucho panuje milczenie.

W r. 1799 już jako kantor wolborski i kanonik kaliski podpisywał się, a siedział na probostwie w Rzezycy. Starsza siostra jego Ludwika, zamężna Makowska, miała trzy córki, wszystkie wydane za mąż: Julianę Białobrzeską, Maryannę Popławską i Józefę Rutkowską. Kitowicz utrzymywał częstą korespondencją z Rutkowskim, sekretarzem króla Stanisława Augusta, a mężem siostrzenicy Józefy. Po podziale kraju w r. 1801 za pruskich czasów, rozpoczął nasz historyk proces o dziesięcinę wytyczną, należną do probostwa rzeczywistego. Sprawa ta żywo go zajmowała, list za listem posyła do Rutkowskiego, aby mu pilnował *w regencyi* processu; pisze do tego długie objaśnienia i w jednym z listów tak się wyraża:

„Byłoby to ze wstydem całego domu naszego, żebyśmy w nim mieli najstarszą głowę takiego tchórza, jakim stałbym się, gdybym zacząwszy proces, uciekł od niego dla wątpliwiej wygranej.“

Nie maluje się w tych wyrazach dosadnie Kitowicz, nie widać w nich, że w nim zawsze bije krew starego z czasów Augustowskich konfederata, którego współczesne przysłowie wybornie określa, że był „*et de hajda et de jure*“, to jest i do szabli i do prawa?

Kochał czule starszą siostrę swoją, ciągle pisywał do niej, donosił to o chorobie swą nieuleconą (cierpiał bowiem na kamień), to o upadku na fortunę, gdy kupiec w Poznaniu któremu pożyczył pieniędzy ogłosił bankructwo, (list z dnia 27 kwietnia 1801 r.) Pomimo przywiązania, nierad był żeby go odwiedzała. Przesyłając jej w darze kurzego owocu (jaja kurze), tłumaczy się, że nie miałby czasu jej dobrze przyjąć, że często wyjeżdża to do Wolborza, to do Piotrkowa. Kończy uwagą: „starym najlepsza wygoda w domu.“

Testament napisał w r. 1799, i o tém wspomina w liście do Rutkowskiego (z dnia 20 maja 1801 r.), nie przyjmując projektu aby porzucił probostwo, przy nich osiadł i wziął dzierżawę wioski Przesławic.

„Tożbym ja (pisze) dla doczesnych widoków miał się oddalić od kościoła, którego przyjąłem służbę, i z której mam zdać kiedyś rachunek Panu Najwyższemu? Tożbym w podeszłym wieku, mocno potrzebującym spoczynku, miał się spuszczać na chleb najpracowitszy, jakim jest ekonomika? Dobrze mi przy kościele rzeczywistym; choć przy szczupłych teraźniejszych dochodach, jeszcze mogę się użyć, nie stając się nikomu ciężarem.“

Umarł Kitowicz na początku roku 1804, mając lat 76 wieku. Długo tajono tę smutną wiadomość przed przywiązaną do niego siostrą Ludwiką Makowską, która jakkolwiek starsza, przeżyła brata.

Do samej śmierci zachował czerstwość, nie czuł zgrzybiałości, choć dożył późnego wieku. Pismo jego, z tegoż roku, które mamy przed oczyma, szybko i silnie kreślone, wyraziste, okazuje że mu ręka nie drżała.

W testamencie zastrzegł sobie, obawiając się pozorniej śmierci, aby prędzej ciało jego nie zostało pogrzebane, dopóki nie pokażą się znaki rozkładu. Prosił ażeby go pochowano w dole głębokim w ziemi, a nie w grobie. W legatach nie zapomniał domowników swoich. Pomiedzy tymi chłopcu, Grzegorzowi Ładyńskiemu, zręcznemu strzelcowi, przeznaczył ulubioną swoją *fuzijkę ptaszynkę*, róg i pulwersak dubeltowy z torbą skórzaną, sześć funtów śrótu i funt prochu, oraz konia z siodłem. Kmiotkom, którym pożyczył pieniędzy na zapomogę i co dał zboża, wszystko darował. Książki które pożyczył, właścicielom oddać polecił. W końcu przyznaje się, że po francuzku nie umiał, lubo język łaciński dokładnie posiadał. Data testamentu 9go lutego 1799, i na nim się podpisał:

„Książd Jędrzej Kitowicz, kantor wolborski, proboszcz rzeczywisty, kanonik kaliski.“

(Dokończenie nastąpi).

Nie wiem czy lepiej to czy gorzej, że wyścigi nasze konne przestają już tutaj zwabiać cudzoziemskie współzawodnictwa. Dawniej zdarzało się że z Niemiec ten lub ów baron lub hrabia, a wytrawny ryccerz wyścigowy, przysłał swoje konie lub sam przyjechał; obecnie musimy się na miejscowych ograniczać, a i tych miejscowych bardzo uszczuplona liczba. Od czasu założenia wyścigów konnych w Wilnie obywatele z tamtych stron, którzy zjeżdżali do Warszawy i sprowadzali tu konie, oszczędzają sobie tego kłopotu, mając u siebie na miejscu dostateczny plac popisu. Inni, których nazwiska zawsze się dawały czytać na programatach, przycichli także, i w tym roku można powiedzieć że na prawdę biegały tylko konie ze stada rządowego, hr. Ludwika Krasieńskiego i p. Ludwika Grabowskiego. I to jeszcze stado rządowe, nie wiadomo z jakiej przyczyny, mniej dostarczyło koni niż zwykle. Występowały wprawdzie do walki, i to dość szczęśliwie, konie p. Jerzego Fanshawe, Władysława Cieleckiego i Józefa Rawicza, ale były to tylko pojedyncze wystąpienia, na których w żadnym razie wyścigi stać nie mogą. Z tego też wywiązało się iż rzadki był przykład żeby trzy konie od razu biegły do mety, najczęściej po dwa, albo zgoła jeden tylko obiegał szranki i zyskiwał łatwe zwycięstwo.

Do tego pojedynczego obiegania szrank publicznosc nie może się jakoś przyzwyczaić, i trudno jej wytłumaczyć, że ponieważ przeciwnicy nie stanęli, to koń stawający musi wykonać swój obieg w oznaczonym czasie. Publicznosc nasza woła, że w taki sposób mogłoby się wcale i bez wyścigów obejść.

Najwięcej nas bawiły zakłady pomiedzy widzami, które, chociaż nigdy prawie nie dochodzą do znacznych summ, oryginalne często przybierają formy. Jakiś malarz założył się z właścicielem domu w którym mieszka, stawiając nowopoczęty obrazek, przeciwko bezpłatnemu kwartalnemu lokalowi.

Naturalnie malarz przegrał, bo już to przeznaczenie tak zrzęda, że właściciel domu nigdy nie może być narażony na stratę. Przy mnie stał jakiś jegomość, który w każdym prawie wygrywającym koniu widział słynnego z dawniejszych wyścigów *Flatterera*. Na nic się nie zdały programat i maść odmienna: znawca nasz utrzymywał że *Flattererowi* zmieniono nazwisko i przemalowano go, dla lepszego podejścia współzawodników. I huczne bił brawo ulubieńcowi swojemu, a bliżej stojących wyzywał na zakłady. Byli tacy którzy go podmówili żeby poszedł do trybuny, upomnieć się dlaczego *Flatterer* pod własną swoją nazwą nie występuje; poszedł, i nie wiem już co się tam z nim stało.

W ogóle najciekawszym może z całych wyścigów bywa powrót do domu, na którym wystawność miejska i obywatelska w całej okazałości swojej występuje. Gdyby brać miarę z tych świetnych ekwipażów i strojów, które się tam przesuwają przed naszymi oczami, toby Warszawę uważać można za bardzo bogate miasto. Dziwimy się tylko dlaczego w tej wytwornosci prawie zupełnie zarzucone zostały krakowskie chomonta, które z pewnością do ozdobniejszych należą. I cóż może być piękniejszego jak dzielna czwórka w krakowskich chomontach i stangret z krakowska ubrany, po staremu klaskający z bicza? Żadna liberya angielska nie wyrówna temu.

Dochód z zabawy loteryjnej w Saskim ogrodzie, pomimo dość niepewnej pogody, wyrównał prawie dochodowi lat zeszłych, sprzedaż bowiem w namiotach szła bardzo pomyślnie i spore przyniosła zyski. W ogóle zabawę tę można śmiało policzyć na stały fundusz ubogich, wszczepiła się ona bowiem już na dobre w życie warszawskie.

Tydzień ubiegły tak pełnym był faktów szybko jeden po drugim następujących, że opisanie każdego z nich w sprawozdaniu naszym wyda się spóźnionem czytelnikom, jedne bowiem z konieczności dawały i dają o drugich zapomnieć. Notujemy więc tylko dla pamięci posiedzenie towarzystwa rolniczego, które, jak zwykle, z wielką odbyło się uroczystością i ogólne budziło zajęcie, oraz wystawę zwierząt gospodarskich, która w bieżącym roku obfitszą była aniżeli w zeszłych i bogatszą w piękne okazy. Oklaski któremi przy rozdawaniu nagród przyjmowano

premiowanych właścicieli, dawały miarę uznania, jakim ogół otacza pojedyncze usiłowania obywateli w krzątaniu się około dobra publicznego. Uznanie takie więcej znaczy od medalu i listu pochwalnego, i stokroć też droższymi te oznaki musiały być dla tych co na nie zasłużyli.

Notujemy tu również dla pamięci odbycie pierwszej próby jazdy na kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej, gotowej już na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst, od Targówka za Pragą do rzeki Liwca. Próba ta zwiastuje już w bliskości niemały wzrost dla Pragi i wielkie dla saméjże Warszawy korzyści. Nie dajemy drzeworytu, bo widocznie zarząd kolei chciał być piśmiennie tylko a nie rysunkowo do potomności podanym.

Ciekawą jest z wielu względów wiadomość, że do robót przy tej kolei sprowadzeni z wielkim kosztem robotnicy zagraniczni nie mogli żadną miarą współzawodniczyć z naszymi wieśniakami, tak co do szybkości i dokładności roboty, jak co do nizkości cen. Zarząd kolei, przekonawszy się dowodnie o tém, odprawił wszystkich Niemców i t. p., a przestał na miejscowych robotnikach, i dobrze mu z tém. Nie nowina to dla nas, że tutejszy lud wiejski odznacza się niemałymi zdolnościami, zwłaszcza pod względem mechanicznym, byleby tylko umieć go skłonić do pracy, co najlepiej osiągnąć się daje wskazaniem mu dostatecznych zysków. Wielka jest wprawdzie wrodzona nasza opieszałość, ale raz w przyzwoity karb wszedłszy, umiemy dotrzymać placu jak inni, a może lepiej od innych. Dowodem tego, że kiedy podczas przesilen finansowych w Anglii odprawiano wszystkich robotników zagranicznych, rodaków jednak naszych zatrzymano; fabrykanci bowiem i przemysłowcy tamtejsi, przekonani o ich użyteczności, nie chcieli się ich pozbywać, a chociaż roboty w ogóle stanęły, rodacy nasi utrzymali się przy zapłacie, rachowano bowiem na nich na przyszłość i nie omylono się.

Jakże więc mylą u nas jest zasada obsadzania fabryk i zakładów przemysłowych cudzoziemcami, które wielu jeszcze uważa za konieczny warunek powodzenia! Wszakże bezwarunkowo Anglii najlepiej się na tém znają, i kiedy w tylu wypadkach służą nam oni za wzór, to i w tym jeszcze ich naśladowmy. W zakładach spółki żeglugi parowej, pod przewodnictwem hr. Andrzeja Zamojskiego, większość składa się z robotników polskich, a przy umiejętnym nadzorze i pokierowaniu, robota nie cierpi na tém, owszem porządek i dokładność panująca w tych zakładach powszechnie budzą pochwały. Dlaczegoż więc mamy koniecznie drogo zagranicznym płacić, kiedy na miejscu taniej i lepiej wszystko da się ułatwić? Nawet do samego kierownictwa zakładami przemysłowymi przybyło nam w ostatnich latach niemało młodzieży kształconej za granicą, a dzienniki bezprzestannie donoszą, że w tych wszystkich szkołach specjalnych Polacy odznaczają się pomiedzy innymi. Tém bardziej to jest zadziwiające, że sama już trudność wyuczenia się obcego języka powinna by tamować postępy; a jednak nie zdaje się to stanowić żadnej przeszkody, i większa część świadectw przywożonych przez ziomków naszych zaszczytne daje wyobrażenie o ich uzdolnieniu. Czasby więc było pozbyć się już tych przemysłowców zagranicznych, którzy ściągają od nas bezprzestannie podatek, żeby potem z napełnioną szkatułą powracać do własnych krajów i śmiać się z nieudolności naszej.

Kiedy mowa o przemysłowcach zagranicznych, musimy wspomnieć o wypadku którego byliśmy świadkami w tych dniach w Saskim ogrodzie.

Jeden ze znajomych naszych, przechodząc tamtędy, zaczepiony został przez żebraka błagającego o jałmużnę po niemiecku. Znajomy nasz skrzywił się, bo nie lubi tego języka, ale widząc przed sobą rzeczywicie bardzo biednego człowieka, wyjął kilka groszy i dał mu, z napomnieniem, żeby poszedł do swoich żebrac, bo oni więcej od nas mają pieniędzy. O kilka kroków dalej stał inny żebrak z nogą drewnianą, wyglądający na starego żołnierza. „Ot temu to nie żał dać, odezwał się mój znajomy, bo to widocznie nasz rodak; dostanie też dwa razy więcej aniżeli tamten.“ Wyjmuje więc pieniądze i daje ubogiemu, ale wystawcie sobie jego zadziwienie, kiedy i ten po niemiecku podziękował. Dziwnem nam się to wydało, bo to rzecz niezwykajna. Niemcy w ogóle słyną z pracowitości, zarobku im nie brak, i spotkać tutaj Żyda albo Niemca żebraka, prawdziwą jest rzadkością. Musiało się

im chyba urwać roboty, kiedy się udają na zebranie, coby dowodziło że naszym się lepiej wiedzie. Nie mamy zwyczaju cieszyć się z cudzej biedy; ale wolimy już tu widzieć cudzoziemców zebranych, aniżeli bardzo bogatych, bo z pewnością pierwsi mniej są niebezpiecznymi, a przynajmniej za nasze dobre pieniądze nie będą jeszcze od nas żądali wdzięczności że nas cywilizują.

Widzieliśmy już w kursie pierwszą nową monetę, o zmniejszonej wewnętrznej wartości. Dobre to bardzo urządzenie, bo przeszkodzi handlowi monetą, który w ostatnich czasach do znacznych doszedł rozmiarów. Płaczo od rubla po cztery i pięć groszy, a może i więcej. Sami znaleźliśmy przemysłowców, którzy z takich zmian jedynie dorabiali się znacznych summ. Już to w ogóle wszelkie pokątne przemysły są u nas bardzo zyskowne, a władze nic na to poradzić nie mogą, bo je sama publiczność, mało dbająca o własny interes, proteguje. Czyby kto naprzykład uwierzył, że w Warszawie znajduje się kilkanaście kryjomych fabryk papierosów, i że właściciele tych fabryk ogromne summy zyskują na łatwowierniej publiczności. Jeden z nich mianowicie kupił sobie w tych czasach dom za przeszło sto tysięcy złotych, a jeszcze, jak nam powiadano, zostało mu się niemało kapitału. Inni także spore już porobili majątki. Fabryki pruskie zalewają nas swoimi cygarami, na których defraudanci więcej jak pół na pół zyskują, a do składu tych cygar wchodzi: liście z kapusty, buraków, i innych płodów rolniczych, czasami dla poprawienia smaku i większej tęgocci, trochę włosów końskich, i Bóg wie nie co. Publiczność jednak chętnie je kupuje, jedynie dlatego, że to jest towar zakazany. Sądźmy że nie omylimy się twierdząc, iż zaledwie jedna trzecia część cygar krajowych rozchodzi się u nas, dwie trzecie zaś konsumcyi ich z pewnością opędza defraudacya. Powinno to być wskazówką dla nowej administracyi, która wkrótce rozpocznie swoją działalność, żeby się starała umiejętnym urządzeniem cen i dobroci towaru defraudacyą zabić. Bo żadna, choćby najgorliwsza kontrola nie poradzi temu, jeżeli dobroć towaru sprzedawanego przez administracyą nie będzie doń znęcać.

Doraźny sąd miał miejsce w tych dniach na placu przed bankiem. Jakiś jegomość złapał za rękę złodzieja wyciągającego z kieszeni pewnej damy w żałobie sakiewkę z pieniędzmi. Summa była spora, a stanowiła podobno cały fundusz tej pani, która jest wdową ze szczupłej bardzo żyjącą emerytury. Oburzeni obecni rozłożyli zaraz złodzieja na flizach i wyliczyli mu zbiorowe napomnienie. Rzecz się odbywała bardzo porządnie, bo za każdą plagą złodziej otrzymywał naukę moralną; a plag było sporo, więc i nauk moralnych nie zbrakło. Ciekawym czy pierwsze czy drugie silniej w pamięci złodzieja utkwily.

Ogłoszony został prospekt na pismo ludowe *Kmiotek*, pod redakcyą Gregorowicza. Pismo to ma niewątpliwie przed sobą piękną przyszłość, byleby tylko umiało utrafić w potrzeby ludu, o czém doświadczenie samego redaktora w zawodzie pisarza ludowego dobrą pozwala nam rościć nadzieję. Kilka już przykładów przekonało nas dowodnie, że na nowe pisma nie brak u nas prenumeratorów, bez żadnej ujmy dawnym. *Kmiotek* więc nawet przy Czytelnii niedzielnej, której powodzenie już ustalone, szerokie jeszcze może znaleźć miejsce.

Przedstawienie komedyi *Po naszymu* odłożonem zostało, z powodu słabości jednej z artystek do składu tej sztuki wchodzących. To nam nastęrcza uwagę, czy nie pożytecznym by było dla sceny i dla samychże artystów obsadzać podwójnie każdą z główniejszych ról, jak to ma miejsce przy wielu większych teatrach zagranicznych, tak iż w razie niespodziewanej słabości artysty lub artystki, zaraz się znajdzie zastępca. Jest to tylko napomknięciem z naszej strony, nie wiemy bowiem o ile ten zamiar, przy obecnej liczbie naszych artystów i ich uzdolnieniu, mógłby się okazać praktycznym. Sądźmy jednak, iż nie brak młodych, którzy z niecierpliwością czekają na rolę i którzyby chętnie podjęli się tego dublerstwa, dającego im przynajmniej nadzieję częstszego występowania w główniejszych rolach.

Wydawca Tygodnika i kierownik jego części artystycznej, p. J. Lewicki, powrócił już z zagranicy, przywożąc nowe dla pisma naszego zasoby i ulepszenia. Najważniejszym jednak plonem tej podróży jest zamówienie pana Budziłowicza, jednego z najznakom-

mitszych drzeworytników w Paryżu, który wkrótce przybyć ma do Warszawy, dla objęcia kierunku drzeworytni Tygodnika.

DOWÓDZCA CHORAĞWI HUSSARSKIEJ.

Załączony drzeworyt przedstawia dowódcę chorągwi hussarskiej, z czasów Zygmunta III, w uroczystym stroju i uzbrojeniu, jadącego na czele swego zastępu. W ręku trzyma znamię swjej dostojności, buzdycan ośmiopiórowy; na głowie czapka kroju dawnego polskiego, obłożona futrem, z piórem umocowanym do niego drogą spinką. Kontusz z podbiciem stanowi zwierzchnią odzież, zapięty na piersiach; pod nim żupan sięgający do połowy kolan. Buty z długą, miękką cholewą, z wysokimi abcasami, opatrzonemi w stalowe podkówki. Z pod prawego kolana widać przytrokowany miecz ogromny, obosieczny i dwuręczny bez pochwy, zwany *koncerzem*. Broń ta wskazuje że to rotmistrz hussarskiej chorągwi, bo żadna inna jazda polska koncerzy nie miała.

Broni tej używali hussarze ciężko uzbrojeni, w *gonionej potrzebie*, to jest w konnej utarcze. Jeżeli drzewcami z proporcami rozbili zastępy nieprzyjacielskie, to powalających na ziemię przebijali koncerzami. Gdy który z hussarzy skruszył kopiję, wtedy używał tego koncerza, zarówno do cięcia jak do pchnięcia, w miejsce drzewca. Bywały takowe koncerze i w ozdobnych pochwach, ale te raczej do parady, niż do użytku bojowego służyły; w natarczywej bowiem napaści jazdy hussarskiej nie było czasu dobywać z pochwy koncerzy: musiały być nagie, ażeby w każdej chwili posługiwały.

Siodło hussarskie osobnego kształtu, czaprak pod nim ozdobny z frendzlą, wyszywany nie tylko sznurami złotymi, ale w rogach i drogiemi kamieniami, oraz napierśnik rzemienny, naszywany również klejnotami, przyozdabiają dzielnego rumaka.

KLASZTOR OLIWA POD GDAŃSKIEM.

Dnia 3 maja r. b. upłynęło lat 200 od czasu podpisania w klasztorze oliwskim nieszczęsnego traktatu między Polską i Szwecyą, a w dniu 26 czerwca r. b. skończy się tyleż lat, jak Jan Kaźmirz traktat tenże łzami w oczach podpisał. Przywołując więc na pamięć tę bolesną dwóchsetną rocznicę, podajemy czytelnikom naszym widok klasztoru oliwskiego z r. 1660 podług Reinholda Curicken i krótką monografią tego miejsca.

Nad brzegiem bałtyckiego morza, u podnóża wzgórz pokrytych staremi lasami, leży mała osada zwana przez dawnych *mons olivarum*, czyli górą oliwną.

Jeszcze za Sobiesława księcia pomerańskiego sprowadzeni i bogato przez niego uposażeni cystersi, założyli tu ogromny kościół, a przy nim obszerniejszy jeszcze klasztor około 1170 roku.

W rokosznym tém ustroniu, z natury samej stworzonym na klasztorne zacisze, urządzili zakonnicy pyszne sady i pełne różnobarwnych kwiatów ogrody, wzniesli bogate opactwo i oddzielny pałac dla przełożonego. Niedługo jednak cieszyli się spokojem ich użytkowaniem. Prusacy pierwsi napadają w latach 1222 i 1234 na klasztor, rabują go i palą; następnie Krzyżacy, niecierpiący w sąsiedztwie swoim żadnych innych zakonów, przechodząc okrucieństwem samych pogan, zaledwo odbudowany klasztor w 1243 r. spustoszyli, a w r. 1247, napadłszy nań powtórny zagonem, w celu odebrania zakonnikom możności odbudowania nowego opactwa, burzą zupełnie nie tylko splondrowany już przez nich poprzednio klasztor, ale nawet i kościół chrześcijański, chrześcijańscy mnichy-rycerze nie szczędzą.

W 103 lat po tych wypadkach stanął kościół i klasztor na nowo, lecz wynikły tego samego roku z zapalenia się sadzy pożar, zmienia go w gruzy i zwaliska.

W 1443 Hussyci napadli i zrabowali klasztor oliwski.

Gdy w r. 1454 ziemie pruskie poddały się Polsce, Kaźmirz Jagiellończyk długi czas bawił w klasztorze oliwskim, dokąd także przybył wygnany ze swych krajów Kanut król szwedzki. Zygmunt III, obrany królem, po wylądowaniu w Gdańsku, d. 7 października 1587 r. w tymże kościele pacta conventa zaprzysiągł.

W 1577 Gdańszczanie, obrażeni na Geszkego opata oliwskiego za to, że w czasie wojny z Batorym po-

magął Polakom, napadają klasztor i ze straszliwym wandalizmem niszczą klasztorne gmachy, tyle już razy najeżdżane i palone.

W 1579 na nowo kosztem upokorzonych Gdańszczan odbudowano świątynię i klasztor, które później zostały znów zrabowane i zniszczone przez Gustawa Adolfa r. 1626.

Wiadomo że po śmierci ojca, Zygmunt nie utrzymał się na tronie szwedzkim; intrygi stryja, a więc może jeszcze niechęć Szwedów, obudzona niedoleżnym postępowaniem jego, wydarły mu koronę, o którą nie przestał się dobijać i którą synom swoim jako czezy tytuł w spuściźnie zostawił. Rzeczpospolita najniepotrzebniej wplątała się w przeszło pięćdziesięcioletnią wojnę ze Szwecyą, prowadzoną w początkach z różnym szczęściem, ale ściągającą na obydwa kraje kłeski nieodłączne od podobnych zapasów. Nierozważny Jan Kaźmirz sprowadził na kraj najgroźniejszą wojnę szwedzką, która o mało nie skończyła się dla niego utratą i polskiej korony. Wtedy za staraniem Maryi Ludwiki król Ludwik XIV wdał się w negocyacye, i za jego staraniem zwycięzca szwedzki zgodził się rozpocząć układy o pokój. Za miejsce do układów obrano klasztor oliwski i naznaczono dzień 5 stycznia 1660 roku do zjazdu uwierzytelnionych posłów.

Pełnomocnicy zjechali się na dzień 5 stycznia i prowadzili obrady bez przerwy aż do 3 maja, to jest blisko przez cztery miesiące. Szwecy chodziło o uzyskanie zrzeczenia się Jana Kaźmirza wszelkich praw do korony szwedzkiej i do dóbr w Szwecy posiadanych, o zatrzymanie jaknajwiększej części Inflant; i o utrwalenie swych praw do Estonii i Ossolii; Kurfirsztowi brandenburgskiemu o zachowanie niezależności zyskaną układami w Welawie i Bydgoszczy i o zatrzymanie Elbląga. Cesarz rzymski był obojętnym świadkiem układów, a tylko poseł Ludwika XIV najgorliwiej przykładał się do zgody.

Znękana kłeskami rzeczpospolita wielką wagę przywiązywała do tych układów, które miały jej zapewnić spokój od groźnego sąsiada; pragnęła jednakże okupić go jaknajmniejszymi ofiarami, i dlatego wybrała na posłów ludzi najznakomitszych, posiadających zaufanie narodu i niepospolite jak na ów wiek zdolności dyplomatyczne. Pomiedzy posłami przeważała partya francuzka. Leszczyński, Prażmowski, Pac, Morsztyn, Rey, to wszystko zwolennicy widoków Maryi Ludwiki i zbliżenia Polski do Francyi. Poseł francuzki najczynniej dopomaga, aby doprowadzić do zgody; a więc już w klasztorze oliwskim spostrzegać się dają zamiary utrwalenia bytu Polski pod silniejszym rządem, które później bitwa pod Montwami na wieki zagrzebała.

Po czteromiesięcznych, jak powiedzieliśmy, obradach, podpisano nareszcie traktat między Szwecyą i Polską dnia 3go maja 1660 r. Jan Kaźmirz okupił pokój zrzeczeniem się na zawsze praw do korony szwedzkiej i dóbr w Szwecy posiadanych, a rzeczpospolita odstąpieniem Inflant z tamtej strony Dźwiny leżących i zrzeczeniem się wszelkich praw do Estonii i Ossolii.

Kurfirszt brandenburgski otrzymał akt osobny pod tą samą datą, który potwierdził układy w Welawie i Bydgoszczy w roku 1657 zawarte, to jest uwolnił księstwo pruskie od lennego holdu i oddał mu lennem prawem powiaty bytowski i lawenburski, z Elblągiem i starostwem drahimskim.

W klasztorze oliwskim znajduje się wmurowana w ścianę marmurowa tablica z napisem łacińskim, który tu w dosłownem tłumaczeniu podajemy:

„Na większą chwałę Boską wiecznotrwały pokój między rzeczpospolitą polską i jej sprzymierzeńcami: jego apostolską mością cesarzem i najjaśniejszym kurfirszttem brandenburgskim, a państwem szwedzkim z drugiej strony, za współudziałem posłów wszystkich chrześcijańskich monarchów, za czasu rządów kościoła ojca św. Aleksandra VII, rzymskiego państwa Leopolda I, polskiego Kaźmirza IV, zawarty został w Oliwie, pod zarządem czcigodnego Aleksandra Kaśowskiego w dniu 3 maja 1660 r. traktat już teraz kwitującego pokoju.“

Rycina przedstawia klasztor oliwski, jaki był w chwili zawarcia traktatu. Pamiątki tego dnia bolesnego długo pozostawały nieknięte; komnata w której posłowie podpisali układy, jest zachowaną jak była w owym czasie; stół marmurowy stoi pod jej oknem, a do roku 1813 stały nawet krzesła przy stole, na których zasiadali traktujący o pokój; pióra,

kałamarze, odcinki nawet papieru przez ówczesny kongres używane, przechowywali cystersi z religijnym poszanowaniem; dopiero Francuzi, zajmawszy na początku tego stulecia klasztor oliwski na koszary i szpital, zniszczyli te zabytki.

Kościół w Oliwie, więcej w pozogach oszczędzany niż klasztor, w stylu staro-romańskim pobudowany, jest najstarszą budowlą w całym wschodnich i zachodnich Prusach.

Rząd dzisiejszy kościół przeznaczył na świątynię parafialną dla gminy katolickiej, złożonej ze starych Pomorzaków, jeszcze po polsku mówiących. Czterdzieści jego ołtarzy, po części artystycznie ozdobionych, mieszczą kilka obrazów znakomitej wartości.

Z wielu kaplic kościelnych najpiękniejszą jest w stylu starożytności świątyni przez opata Rybińskiego wzniesiona. Godzien także uwagi grobowiec książąt pomorskich, w pobliżu ambony położony. Na miejscu w którym ich zwłoki r. 1578 znaleziono, wystawiony został przez klasztor bogato wyciosany w marmurze pomnik, z białymi Piastów orłami, na ciemnym tle grobowca złożonymi.

Po prawej stronie wielkiego ołtarza, na starych freskach, które jeszcze i dziś znajdują się pod nowymi, odmalował nieznaną artystą w naturalnej wielkości wizerunki książąt pomorskich: Sobiesława I, Sambora, Mestwina I, Swiatopelka i Mestwina II, oraz Winrycha Kniprodego wielkiego mistrza krzyżackiego, tudzież Przemysława, Wacława, Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego, Stefana Batorego i Zygmunta IIIgo.

Wiele zabudowań klasztornych zniszczonych już zostało. Sala tylko kapitulna z portretami wszystkich opatów, dziedziniec z wyszlą fontanną, portykiem w kwadrat zamknięty, wielkie ogrody z willą króla Sobieskiego i alejami długości 1/4 mili z lip sadzonymi, zachowane w całości, milczą dawną ciszą klasztorną, poglądając ze swych wyżyn na szerokie przestrzenie bałtyckiego morza.

POMNIK

STANISŁAWA

JABŁONOWSKIEGO

WE LWOWIE.

Rysunek załączony przedstawia posąg hetmana Jabłonowskiego, wzniesiony na cześć jego w początku zeszłego wieku przez mieszczan lwowskich, z wdzięczności za uratowanie miasta od napadu Tatarów i Turków w r. 1695. Posąg ten, ustawiony początkowo na jednym z dziedzińców jezuitów obok kościoła, później na placu św. Ducha, przed siedmiesiątą blisko laty zwalony z piedestału przy zakładaniu w tym miejscu strażnicy wojskowej, ponieważ się najprzód pod murem kościoła; przeniesiony ztamtąd, użyty był za przyozdobienie studni w dziedzińcu kamienicy Wejgla, później zaś służył za ławkę do siedzenia pod murem ogrodowym. W ciągu tych przenosin odłuczono mu obie nogi, rękę i twarz

znacznie uszkodzono. Dopiero przed kilką laty zwrócił nań pierwszy uwagę księgarz lwowski p. Jabłoński;

nie, rozpoznał żadnej skazy ni różnicy. Miasto przy czyniło się także do sprawienia piedestału, i posąg ustawiony przed kilką tygodniami obok przechadzki publicznej, w miejscu dawnych wałów, otoczony żelazną w smaku gotyckim balustradą, wygląda obecnie tak, jak go nam przedstawia rycina.

Dziwną to zaiste a prawie nie do uwi erzenia jest rzeczą, że mieszczanie lwowscy z taką obojętnością dozwolili na zrucenie i na kilkadziesiątletnią poniewierkę posągu tego ich dobroczyńcy, który życie i mienie ich przodków uratował od zguby, jednego z najznakomitszych zasług i waleczności w rzeczypospolitej mężów. Stanisław Jabłonowski, kasztelan krakowski, wojewoda ruski, hetman w. koronny, był synem Stanisława Jana Jabłonowskiego, miecznika i marszałka koronnego i Anny z domu Ostorożanki. Urodził się w Łucy pod Jabłonowem na Rusi Czerwoniej dnia 3 kwietnia 1634. Straciwszy wczesnie ojca, posłany był młodem chłopcem przez matkę na nauki do akademii krakowskiej, później zaś do Pragi i Paryża. Wróciwszy do kraju, walczył po raz pierwszy, licząc zaledwo rok siedemnastego wieku swego, pod wodzą Stanisława Potockiego hetmana w. koronnego. Odznaczył się pod Beresteczkiem, a w wojnie szwedzkiej za Jana Kazimierza walczył po stronie króla pod Stefanem Czarnieckim. Podczas oblężenia Krakowa uwiózł ztamtąd do Częstochowy powierzone mu przez Czarnieckiego klejnoty koronne, przebiwszy się w kilkadziesiąt koni przez zastępy oblegających miasto Szwedów. W wyprawie Czarnieckiego do Danii, podczas wzięcia Koldyngi, pierwszy wdarł się na mury i tutaj otrzymał ranę od strzału.

W r. 1664 został wojewodą ruskim. Nieodstępny towarzysz Sobieskiego w walkach z Turkami, przyczynił się wiele mężstwem swym do świetnego zwycięstwa pod Chocimem, a podczas elekcji po śmierci króla Michała Wiszniowieckiego, on głównie powagą swą i energicznym przymówieniem się spowodował wyniesienie na tron Jana Sobieskiego. We wszystkich późniejszych bojach z Turkami również czynny brał udział. W roku 1676 mianowany hetmanem polnym, był tegoż roku z Sobieskim pod Żórawnem. W roku 1682 otrzymał buławę wielką, w rok później towarzyszył Sobieskiemu pod Wiedeń i w pamiętnym dniu 12 września 1683 pierwszy uderzył na Turków i rozpoczął bitwę tak świetnym zakończoną zwycięstwem. Pod Parkanami wykonanym z wielką przytomnością umysłu atakiem, uratował króla z niebezpieczeństwa.

W roku 1685 odbył sławną w dziejach wyprawę na Wołoszczyznę gdzie otoczony wśród cieśni lasów bukowińskich trzykrotnie silniejszą nawałą Turków i Tatarów, znalazł się w podobnym położeniu, jak niegdyś Żółkiewski pod Cecorą; nadzwyczajną jednak walecznością i przytomnością

umysłu zdołał przebić się przez liczne chmury nieprzyjaciół i wojsko swe od zguby ochronił. W roku



DOWÓDZCA CHORĄGWI HUSSARSKIEJ.

Rysował Lewicki podług Delabelli, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

prywatne osoby zajęły się zebraniem składki na zrestaurowanie go, odnowił zaś posąg bardzo starannie

on głównie powagą swą i energicznym przymówieniem się spowodował wyniesienie na tron Jana Sobieskiego. We wszystkich późniejszych bojach z Turkami również czynny brał udział. W roku 1676 mianowany hetmanem polnym, był tegoż roku z Sobieskim pod Żórawnem. W roku 1682 otrzymał buławę wielką, w rok później towarzyszył Sobieskiemu pod Wiedeń i w pamiętnym dniu 12 września 1683 pierwszy uderzył na Turków i rozpoczął bitwę tak świetnym zakończoną zwycięstwem. Pod Parkanami wykonanym z wielką przytomnością umysłu atakiem, uratował króla z niebezpieczeństwa. W roku 1685 odbył sławną w dziejach wyprawę na Wołoszczyznę gdzie otoczony wśród cieśni lasów bukowińskich trzykrotnie silniejszą nawałą Turków i Tatarów, znalazł się w podobnym położeniu, jak niegdyś Żółkiewski pod Cecorą; nadzwyczajną jednak walecznością i przytomnością umysłu zdołał przebić się przez liczne chmury nieprzyjaciół i wojsko swe od zguby ochronił. W roku



KLASZTOR OLIWA POD GDAŃSKIEM.

Rysował Kostrzewski, rytował Kübler w drzeworytni Tygodnika.

kamieniarz lwowski Eisler i uszkodzone części dorobił w takiej harmonii z całością, iż najbieglejsze oko

1693 dostąpił najwyższej w Rzeczypospolitej senatorskiej godności, został bowiem kasztelanem krakowskim, a we dwa lata później w roku 1695 z małą stunkowo garstką rycerstwa odniósł pod murami Lwowa pamiętne nad hordami połączonych Turków i Tatarów zwycięstwo, które Lwów ocaliło od zniszczenia, i na którego pamiątkę wzniesiony był pomnik na początku wspomniany.

Wrócił był właśnie Jabłonowski z sejmu z Warszawy, gdy straszna wieść nadbiegła do Lwowa, że Szach Pass Gerej z hordą 60,000 Tatarów i Turków ciągnie na Lwów traktem stryjskim od Węgier. Co rychlej wysłał hetman do pobliskich zamków obronnych, dla ściągnięcia z tamąd posiłków; lecz pomimo tego nie zdołał zebrać więcej jak 6,000 żołnierza. Przyszło mu się więc zmierzyć z dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem. Nie chcąc narażać miasta na klęskę walki wśród murów, wyciągnął w pole, rozłożył się obozem i oszańcował, oczekując nieprzyjaciół, którzy dnia 11 lutego ukazali się pod Lwowem.

Jabłonowski, nie czekając napadu, swym nielicznym hufcem pierwszy na nich uderzył. Przerażeni natarczywością ataku, rozpierchnęli się Tatarzy i cofnęli bokiem ku krakowskiemu przedmieściu, pod same mury miasta. Tu dopiero rozpoczął się bój zażarty. Jabłonowski na czele swoich walczył jak prosty żołnierz w największym zgiełku bitwy. Porwany wśród walki przez pogan,omal nie dostał się już w niewolę. W krytycznej tej chwili nadbiegli z swymi hufcami Atanazy Miączyński, podskarbi w. koronny i młodszy syn hetmana, i wyrwali go z rąk nieprzyjaciół. Tymczasem pogaństwo wdarło się już na krakowskie przedmieście, poczęło palić domostwa i rabować. Widząc Jabłonowski że potrzeba stoczyć walkę w ulicach pomiędzy domami, zsiada z konia, toż pancernym i dragonii uczynić rozkazuje i przerznuwszy się do bramy krakowskiej, na cmentarzu obok kościoła św. Maryi pieszo nowy bój rozpoczyna. Równocześnie Miączyński uderza na Turków przy cerkwi zwaną Mohylą, obok klasztoru teatynów. Po morderczym boju Jabłonowski zmusza pogan do ucieczki. Rozpoczyna się rzeź i popłoch ogólny. Hetman poleca Stefanowi Potockiemu, łowczemu w. kor., by ścigał uciekających i nie dał się im połączyć z hordami walczącymi dotąd obok klasztoru teatynów, gdzie sam spieszy osobiście, dla wsparcia Miączyńskiego. Tu stacza drugą bitwę i gromi resztę pogaństwa. Szerokie, ledwie przejrzone okiem łąki pod Zniesieniem, napełniły się trupami i chmurami uciekających. Dwanaście tysięcy Turków i Tatarów i dziesięciu mirzów padło na poboju.

Polacy stracili tylko 400 ludzi, lecz z dowódców każdy prawie był ranny. Walka trwała ośm godzin. Skutki jej były bardzo zabawne, nie tylko dla samego Lwowa, lecz dla całego kraju. Bisurmani, przerażeni tak wielką klęską, nie wstrzymali się nigdzie w swęj ucieczce i parci wysłanem w pogoń wojskiem polskim uchodzili na Stryj i przez Pokucie, a przez cały rok następny kraj był wolny od ich napadu. Nachwymano wówczas przeszło 30,000 jeńców, których hetman użył do robót zamkowych w Krzewinie, dobrach swych w powiecie ostrogskim na Wołyniu.

Nazajutrz po tém zwycięstwie odśpiewano w katedrze Lwowskiej *Te Deum*, na podziękowanie za odniesione zwycięstwo. W kilka lat potem w r. 1702 umarł hetman Jabłonowski, w 68 roku życia, we Lwowie dnia 3go kwietnia, dziwnem zrzędzeniem losu właśnie w rocznicę swych urodzin, tej samej godziny o której na świat przyszedł. Umarł w skutek odno-

wienia się rany, odniesionej w młodości jeszcze pod Koldyngą, z której kuli nie wyjęto. Pochowany we Lwowie, w kościele jezuickim.

Posąg hetmana Jabłonowskiego wzniesiony we Lwowie, jest pięknym sztuki snycerskiej dziełem. Wykuty z twardego piaskowca, przedstawia on hetmana w naturalnej wielkości, w pełnym uzbrojeniu, z obliczem w górę wzniesionem, na którem podobieństwo rysów



POMNIK STANISŁAWA JABŁONOWSKIEGO WE LWOWIE.
Rys. Polkowski podług Dziewonskiego, ryt. Hähle w drzeworytni Tygodnika.

doskonale zachowane, w prawęj ręce buławę hetmańską dzierżącego. Płaszcz rzymski, rzucony przez lewe ramię, tworzy malowniczą draperyę i służy zarazem za tło i podporę dla całego posągu. Wlekkości tej draperyi ukazuje się najlepiej śmiałość i zręczność rzeźbiarskiego dłuta. Posąg był niegdyś cały grubo złocony, jak tego ślady dotąd zostały. Teraz powleczono go pokostem koloru spiżowego, trwałym i dobrze chroniącym od wpływów atmosferycznych.

Podstawa na której go ustawiono, jest to prosty o kilku stopniach z kamienia wyciosany słup czworo-

graniasty, około trzech łokci wysoki, ozdobiony z trzech stron tablicami z czarnego marmuru dębnickiego, na których wkleślemi, złoconymi literami następujące umieszczono napisy:

Na tablicy frontowej: *Stanisław Jabłonowski, herbu Prus III, kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, urodził się w r. 1634, umarł r. 1702 we Lwowie.*

Na tablicy po stronie lewej: *Walczył pod Beresteczkiem, Batowem, Baworowem, Kamieńcem, Humanem, Krakowem, Jarosławiem, Gołębim, Pragą, Kulikowem, Sandomierzem, Toruniem, w Kurlandyi, w Holsztynie, pod Cudnowem, Chmielnikiem, Lachowicami, na Ukrainie, pod Buczaczem, Komarnem, Katuszem, Chocimem, Złoczowem, Trembowłą, Żurawnem, Wiedniem, Parhanami.*

Na tablicy po prawej stronie: *Dowodził na Wołoszczyźnie, Bukowinie, pod Kamieńcem, Chwastowem, Podhajcami. Lwów zwycięstwem obronił od Turków i Tatarów. Wdzięczni mieszczanie Lwowa pomnik mu ten wystawili, który w r. 1859 odnowionym został.*

Na stronie czwartej, odwrotnej wyrzeźbiono herb Jabłonowskich Prus III.

Podstawa zbyt niska na której posąg umieszczono, wyciosana z prostego zwykłego piaskowca, wygląda dosyć nędznie i wcale wspaniałości pomnika nie odpowiada, lubo pociągnięto ją barwą posągu. Czyż magistrat lwowski nie mógł się zdobyć na koszt nieco większy, ażeby przywoicie ustawić statwę bohatera i zbawcy miasta, tém bardziej gdy znaczną część kosztu pokryły składki od osób prywatnych? Na ustawienie też jego całkiem niestosownie obrano miejsce, w rogu przechadzki publicznej, tuż obok żydowskiego przedmieścia, nad brudną Pełtwią, wśród drzew zasłaniających posąg i tak już bardzo nisko ustawiony. I toż to dla niego miejsce stosowne? Nie dla ozdoby ogrodów miejskich wznoszą się historyczne pomniki, a zdaje się jakoby ten cel głównie miano tu na oku. Dlaczegoż nie ustawiono go tam, gdzie stał przed laty, z kąd go niegdyś zrzuciono, na placu św. Ducha? Tam byłoby najprzystojniejsze miejsce dla posągu, który jest ozdobą miasta i jedynym tego rodzaju pomnikiem historycznym we Lwowie.

DWA WESTCHNIENIA.

OBRAZEK PRZEZ ANONIMA.

(Dalszy ciąg.)

Słońce sierpniowe silnym blaskiem pozłacało szczyty wysokiego łańcucha Alp, który zagina się w pół-

kole, otaczając okolice Bernu, z południowej strony miasta. Okolica ta w dzień pogodny, szczególnież też zaraz po wschodzie słońca, uroczy i majestatyczny przedstawia widok. Te groźne grzbiety, okryte wiecznym śniegiem, płonące w promieniach słonecznych, zdają się być granicą widomego świata. Wyobraźnia, przedzierając się za ten łańcuch alpejskich olbrzymów, szuka tam jakiejś przedświatowej ciszy, widzi jakieś duchy płynące

we mgle i chmurach...

Bardzo mała liczba podróżnych zwidza tę okolicę berneńską, a nikt prawie nie przepędził dni kilku w małej wiosce E*, położonej w dolinie u stóp skał nagich, podartych, ciągnących się ku owemu łańcuchowi gór olbrzymich. A jednakże wioska ta, leżąca o kilka wiorst tylko od głównego traktu, który przebiega całą tę część Szwajcaryi, aż ku pasmom Jura, jest jednem z tych miejsc, które natura w szczodrocie swojej przeznaczyła na królewski dar dla pędzla malarza, dla duszy poety! Wioska E*, zabudowan-

z szwajcarską czystością i porządkiem, leży nad śliczną, podobną cokolwiek do prądnikowej, choć mniej głęboką doliną. Jak tu, tak i tam, środkiem doliny przebiega mały strumień, któremu na wiosnę topniejące z gór śniegi rozszerzają bystre koryta. Minawszy tę wąską dolinę i otaczające ją skały, oko podróżnego spotyka nagle olbrzymi łańcuch gór już wspomnianych, ku któremu zbiegają się znowu gromady skał i wzgórzy zarosłych lasem i krzakami.

Otóż w połowie sierpnia na końcu tej doliny, po drodze skalistej i wązkiej, postępowała grupa podróżnych, jadąca na osiodłanych osłach. Pierwsza para tych zwierząt, przodem postępująca, unosiła na sobie młodego jeźdźcę i przesliczną amazonkę; druga, objuczona koszykami, stąpając w pewnej odległości, dźwigała na sobie także dwoje podróżnych, lecz mniej okazałej i mniej sympatycznej powierzchowności. Pieszy przewodnik, z koszturą w ręku, ubrany w szeroki kapelusz słomiany, w kurtkę zakończoną z tyłu krótkimi połami i w niebieskie pończochy, postępował na czele tej grupy. Mała karawana, dojechawszy do końca doliny, stanęła wreszcie na zielonym wzgórzu i ujrzała nagle przed sobą ów majestatyczny łańcuch, przecięty w połowie sinym pasem chmur wędrujących leniwie ku jego szczytom. Przewodnik zatrzymał się w tym miejscu i ukazawszy koszturą krajobraz rozwinięty przed podróżnymi, usiadł spokojnie na trawie.

— Jakież to piękne! Nieprawdaż Edwardzie? zawołała amazonka.

— To nie już piękne, to wielkie, Amelio! odrzekł poważnie malarz.

Kamerdyner Francuz i panna służąca zsiadli z osieków i zdjąwszy kosze przymocowane do siodła, poczęli z nich dobywać rozmaite przysmaki.

Przez chwilę trwało uroczyste milczenie; wreszcie hrabina, zeskoczywszy lekko na murawę, poczęła wdzierać się na pagórek obrosnięty jodłami, z którego szczytu widok na okolicę zdawał się być rozleglejszy. Edward naśladował swoją przewodniczkę.

— Czy wiész, mości malarzu — rzekła Amelia, usiadłszy na odłamie skały leżącym na szczycie pagórka, że ten krajobraz wart, nawet... twojego pędzla!

— Czy wiész, hrabino, odrzekł Edward z ponurym blaskiem w oczach, że radbym paść na kolana przed tą wielką naturą, dziękując jej za cud który działała...

— Jakież to cud?

— Wzruszyła cię i wydarła mimowolny okrzyk zachwycenia z twój piersi.—Przez tę chwilę myślałem że znowu jesteś aniołem. Nieszczęściem zapal trwał krótko, anioł uleciał—została... hrabina!

— Pedant jesteś, Edwardzie! Ciągłe mnie napominasz i dręczysz, przygotowując mi jakieś serafinowe skrzydła.

— O, Amelio! Amelio! W imię tego Boga, co patrzy tak widomie z tych gór olbrzymich; w imię tej wspaniałej natury, zaklinam cię! nie szydź ze mnie! Stań się znów taką, jaką byłaś w naszej rokosznej willi, nad zatoką!...

— I przenieś nad moją głowę ten głęboki błękit włoskiego nieba, którego nie nauczyłem się malować; roztocz przed okiem spokojną taflę genueńskiej zatoki, w której się kąpałem i otwórz mi muzea Watykańu, na które próżniaczem okiem zaledwie spojrzeć raczyłem... dokończyła patetycznie szyderskim tonem hrabina.

— Amelio! jesteś bez serca!

— Edwardzie! jestem... bez śniadania! podaj mi rękę—zejdźmy.

— Po co?

— Zjesz śniadanie, które służący nam podadzą.— Jakżeś niedomyślny!

— Amelio! zawołał malarz, głosem prawdziwej rozpacz — ty mnie już nie kochasz! Moja obecność jest ci natrętną! A jednak, jednak... dodał załamując ręce, ja dla ciebie poświęciłem wszystko! Skruszyłem moje szczęście rodzinne, zламаłem pędzel artysty—duszę całą zaprzedałem ci w niewolę... ja—łatwowierny głupiec!

— I bardzo źle uczyniłeś, mój panie. — Lecz nie ja to wyrwałam cię z twoich uczuć rodzinnych, nie ja kazałam ci pędzić za sobą po świecie i zaniedbać talent—a jeżeli zniewolona twoim cierpieniem, ujęta szczerością uczuć, pozwoliłam ci przepędzić kilka miesięcy z sobą—jeżeli w ciągu tego czasu, zdala od towarzystw do których nawykłam, pozba-

wiona wszelkich zabaw i rozrywek, oddałam ci wszystkie chwile mego życia, to nie spodziewałam się usłyszeć za to wyrzuty i skargi od ciebie mój panie.

Edward ukląkł przy skale, i chwyciwszy rękę hrabiny, przycisnął ją do ust drżących od wzruszenia. Kilka łez palących spadło na tę białą i drobną rękę.

— No uspokój się, mój piękny Tycyanie! Pomówmy seryo. Otóż widzisz, ja muszę mieć przezorność i rozwagę za nas dwoje. Drogi naszego życia są odmiennie, zbiegły się one przez chwilę, lecz się rozdzielić muszą, bo przeznaczenie wytknęło je w kierunku wprost przeciwnym. Ja — muszę iść za wichrem, który mnie pędzi, może ku przepaści nawet! Ty powinienes dążyć za gwiazdą, która ciebie prowadzi do sławy! Nie serce, lecz tylko obecność moją chcę ci odebrać, bo ta obecność dla ciebie jest szkodliwą. Przypomnij sobie tylko, czém zapełniłeś życie w ciągu pobytu swego we Włoszech? Czyliż wyniosłeś z tamtąd jedną chociaż godzinę pracy, studyów, tak potrzebnych artyście? Czyliż zwidzałeś te olbrzymie pomniki i muzea w stolicy sztuki i pamiątek?

— Byłem tak szczęśliwy! Amelio—wyszeptał malarz nie podnosząc głowy, nie odrywając ust od ręki.

Zmarszczka niecierpliwości przebiegła po czole hrabiny, wązkie łuki jej brwi ściągnęły się nagle i poruszyły, jak dwie czarne liszki. Mówiła jednak dalej z łagodnym uśmiechem:

— Jeżeli więc chcesz, aby to szczęście trwało dłużej; jeżeli chcesz żyć w moim sercu, to rozstańmy się tutaj... Wróć do Włoch, do Rzymu, pracuj tam jak młody, cheiwy sławy artysta, jak człowiek chcący się podnieść nad innych... a gdy już przełamiesz się z pracą i nauką, gdy dziełami geniuszu zabłysznieś w świecie, wtedy wracaj do mnie, Edwardzie, jeżeli chcesz, dodaj ze słodkim uśmiechem, abym kaprys i skłonność do młodego sentymentalnego szaleńca, zamieniła na silną i gorącą miłość dla człowieka zasługi i sławy. No! odważnie mój biedny Tycyanie! Bądźże mężczyzną przecież.

— Więc mam się pozbawić twojego widoku, mam żyć oddany na pastwę dręczącym mnie wyrzutom?...

— Obecności mojej, Edwardzie, pozbawić cię nikt nie zdoła! Odtworzysz moje rysy w każdej głowie szlachetnego ideału, którą rzucisz na płótno, żyć będę bliska ciebie, w arcydziełach twoich! A później... żywa zastąpi malowaną... i szczęśliwa Fornarina oprze się z dumą na ramieniu swojego Rafaela! Ostatnie te wyrazy wymówiła z zapalem i energią.

— Oh! tak. Mów tak do mnie. Jesteś aniołem... Zrobię wszystko co każesz, wróć do Włoch, będę pracował i wkrótce Amelio! usłyszysz o mnie. Przyśięgam! I młody szaleniec podniósł rękę ku niebu, nie pomyślawszy nawet, że toż samo błękitne sklepienie, gdzieś daleko... osłaniało jego ziemię rodzinną, że toż samo słońce rzucało w téjże chwili bledsze promienie na smutne czoło opuszczonej kobiety, na niewinną główkę dziewczyny śpiącej u jej łona.....

— Więc to ostatni dzień dzisiaj Amelio? zapytał Edward, sprowadzając hrabinę z pagórka, na którym stali dotąd, zakryci drzewami przed oczyma pozostałych w dolinie.

— Ten dzień ostatni daruję tobie zupełnie! No! mój przyszły Rafaelu, rozjaśnij czoło! Masz przed okiem wspaniałą naturę, nad głową niebo pogodne, i Fornarinę przy boku. Doprawdy! jesteś bogatszy od indyjskiego Naboba!

* * *

Nazajutrz po tej malowniczej scenie w górach, hrabina wyjechała do Paryża, Edward powrócił do Rzymu.

W pierwszych dniach pobytu w stolicy chrześcijańskiego świata i pogańskich posągów, młody malarz rzucił się z zapalem do pracy, chcąc w niej zatopić tęsknotę po Amelii i zyskać czém prędzej prawo do połączenia się z nią w przyszłości. Jakoż z nadzwyczajną energią zwidzał wszystkie muzea i galerie, studyował arcydzieła mistrzów, kopiował obrazy, szkicował swoje pomysły i począł żyć ściślej z gromadką artystów polskich, podówczas znajdujących się w Rzymie. Bądź to że praca uszlachetnia umysł, bądź że wpływ młodych i prawego serca towarzysów oddziaływał na Edwarda, młody artysta uczył budzące się w sercu jakieś zgrzyoty, jakąś tęsknotę do kraju... Wspomnienie Leontyny i jej wdzięk niewinny, jawiły się coraz częściej i zacieraly jaskrawą namiętność dla hrabiny. Lecz jeszcze zbyt świeża

pamięć jej czarodziejskiego uśmiechu, jej spojrzeń palących i dni przepędzonych razem, utrzymywała Edwarda pod panowaniem tej żądzy szalonej i zabójczej; jeszcze on stale jedną tylko zajęty był myślą: aby czém prędzej wykonać jakieś arcydzieło i po stopniach sławy powrócić w objęcia zalotnej wróżki.

Pewnego dnia Edward chciał wreszcie rozpocząć obraz wielkiego rozmiaru, a natchniony majestatem dzieł religijnej treści, napełniających kościoły i muzea Rzymu, zamierzał utworzyć nową, odmienną od wszystkich dawnych, polską madonnę.

Wbrew radom kolegów i zwyczajom rzymskich artystów, postanowił nie używać modelu. Młody malarz nie chciał aby ta królowa aniołów pożyczala postawy lub draperyi od ziemskich postaci, zajmujących swe kształty, sprzedających najszlachetniejszy wyraz twarzy, lub najczystsze spojrzenie.

Z początku praca szła oporem; w kilka dni jednak, cała postać Maryi już była podmalowaną i nawet rysy Boskiego dziecięcia, spoczywającego na czystym łonie Matki Dziewicy, odznaczały się w niewyraźnych cieniach. Ożywiony jakimś gorączkowym natchnieniem, Edward począł malować oblicze madonny:—pędzel jego ślizgał się po płótnie szybko i szeroko... oczy młodego mistrza iskrzyły się zapalem; pracował bez przerwy kilka godzin, aż kiedy zmęczony i z sił opadły, rzucił pędzel i spoczął w fotelu o kilka kroków od stalugi stojącym.

Przez jakiś czas artysta ustąpił miejsca spracowanemu robotnikowi. Edward z głową opartą na rękę siedział nieruchomy. Wreszcie, posilony nieco, spojrzął na obraz, chcąc z oddalenia zobaczyć efekt oblicza już skończonego prawie. Nagle... zadrzał i wyciągnął przed siebie ręce... Słońce, padając w tej chwili na obraz, oświeciło silnie łagodną i pełną anielskiej rezygnacji twarz Leontyny.

Zdawało się że młoda kobieta patrzy z tego płótna żywemi oczyma, że jej tęskne, pełne smutku spojrzenie ściga w dali jakąś postać lub nadzieję, a uśmiech nieokreślonej, niezemskiej dobroci ożywił to święte, melancholijne oblicze...

W chwili pożegnania z odjeżdżającym mężem, Leontyna miała takie spojrzenie i uśmiech taki! — Edward mimowoli odtworzył tę piękną głowę, której opieką miało być jego ramię, przytulkiem jego pierś i serce. Łzy bujne wytrysły z oczu malarza. Matka i dziecię zdawały się doń uśmiechać coraz bliżej... Padł na kolana, zakrywając twarz rękami.

Nazajutrz Edward odebrał list z Paryża. W tym piśmie hrabina zachęcała go do pracy i wytrwania. Pochlebiając zręczność miłości własnej artysty, jednocześnie przygotowywała go ostrożnie do myśli zupełnego z nią rozstania się. Słowa tego listu, naprzemian zalotne, serdeczne i dowcipne, zdawały się kryć jakiś zamiar, jakąś tajemnicę hrabiny, a wyrazy w których Amelia nakłaniała swojego wielbiciela aby starał się pamiętać o niej już tylko, jak o śnie młodzińczym, jak o rajku straconym na zawsze... rozburzyły wściekłą zawiść w tym sercu szalonem, nieoczyszczenem dotąd hostwą modlitwy.

Tegoż dnia jeszcze Edward, zabrawszy się zupełnie, bez pożegnania kolegów, bez spojrzenia na kopułę Piotrowej świątyni, obok której przechodził, wyjechał do Civita Vecchia, z kąd nazajutrz statkiem parowym odplynął do Marsylii.

* * *

Hrabina Amelia zajmowała wykwinne mieszkanie przy ulicy Vivienne. Od chwili rozstania się ze swoim pięknym Tycyanem, pani Łucka przestała myśleć o nim. Jej wyobraźnia, wypoczęta i uspiąca kilkumiesięcznym osamotnieniem, zaczęła szukać nowych do zajęcia żywiołów. Kapryśny umysł awanturniczkiej piękności zapragnął doświadczyć sił w jakiejś nowiej, potężnej walce. Miłość ubogiego artysty ciążyła jej na sercu, jak sen na powiekach. Chciała teraz zakosztować odmienną namiętności, otoczonej przepychem bogactw i szacunkiem świata. Piękna hrabina galicyjska przedsięwzięła wydać się za mąż, za jakiego prawdziwego magnata, mniejsza jakiego kraju. Dlatego też zaraz po przybyciu do stolicy modnego świata, rzuciła się z zapalem i energią w zamęt salonowego życia. Piękna, młoda i bogata cudzoziemka, zwróciła na siebie powszechną uwagę, a rój wielbicieli rozmaitego stopnia, wieku i znaczenia otoczył ją wkrótce.

Między tym nowym dworem, zebrany u stóp królowej zalotności i wdzięku, odznaczał się pewien baron niemiecki. Sentymentalny, tłusty i blondyn, pan Ortelsdorf był prawdziwym typem stariej szlachty germańskiej. Piękność polskiej hrabiny podbiła go tém skuteczniej, że baron, wierny idei czysto germańskiej, uważał zdobyc serca Amelii, jako ważny krok na drodze historycznej inwazyi swego szczepu w posiadłości słowiańskie....

Objaśniony dokładnie o stanie majątkowym hrabiny i ośmielony jej uprzejmością, szlachetny potomek baronów dawnego imperyum oświadczył się formalnie o rękę Amelii i otrzymał przychylną odpowiedź. Było to właśnie w dniu, w którym hrabina napisała ów zagadkowy list do Edwarda, przyzwyczajając go do myśli wiecznego rozstania.

Jednakże lekarstwo tak gwałtowne okazało się niebezpiecznym, bo Edward, podniecony zazdrością, wkrótce po otrzymaniu listu zjawił się w Paryżu.

Hrabina z wielką niechęcią dowiedziała się o przybyciu swojego pięknego Tycyana. Nawet próżność zalotnej kobiety nie ucieszyła się dowodem gwałtownej namiętności młodzieńca, bo hrabina, raz już zapomniawszy o sentymentalnym romansie z malarzem, postawiła krok stanowczy na nową, rzeczywistą drogę życia.... Starożytna tarcza herbowa i rycerski zamek potomka feudalnych panów Ortelsdorfu, podbiły jej próżność i wyobraźnię. Dotąd była kobietą wytworną, bogatą i uwielbianą; teraz zapragnęła zostać wielką damą, poważną małżonką prawdziwego magnata. Chciała więc zerwać wszystkie węzły łączące ją z dawnym życiem, odgradzić się od przeszłości, która mogłaby zniechęcić i odstraszyć świetnego konkurenta. Gdyby nie obawa że Edward, dowiedziawszy się o jej przyszłym związku, gotów ją skompromitować w oczach narzeczonego, byłaby wręcz zamknęła drzwi przed swoim pięknym Tycyanem. Przyjęła go jednak obojętnie, przyjaźnie tylko; a gdy namiętny młodzieniec wybuchnął wyrzutami i rozpaczą, oświadczyła mu ze skromną godnością, że chwile szału już przeszły, że życie jej odtąd będzie surowe i cnotliwe, że uczuła w sumieniu wyrzut bolesny, rozważając jak popełniła występki, przez uwiedzenie serca będącego własnością i szczęściem innej kobiety. Wreszcie zachęcała Edwarda, aby wracał do kraju i zajął się przyszłością swoją i domowym życiem. Dopiero gdy wszystkie te rozumowania nie osłabiły nalegań Edwarda, rozgniewana awanturnica zdarła maskę.

(Dokończenie nastąpi.)

CHWILA ŻARTU I PUSTOTY.

(Tekst Wł. Maleszewskiego, rysunki Fr. Kostrzewskiego).

(Dokończenie).

Scena druga. Na placu wyścigowym.

Naokoło tysiące ludu. Hrabianka Gniłko słodkim uśmiechem wita Serafinka i całą jego rodzinę. Stefanek, spostrzegłszy baby z kiełbasami, sérem i chlebem, uwiązał szkapę u baryery, i za dwadzieścia groszy, które miał przy sobie, kupił czempredziej wszystkiego po trosze, a schowawszy za pazuchę, uśmiechał się na myśl balu, jaki sobie sprawi po wyścigach. Tymczasem pierwszy wyścig ogłoszony, wszyscy stają w szrankach. Stefanek przy swoim Trumbulmarze czeka tylko znaku do wsiadania na koń; lecz gdy z powodu małego nieporozumienia między panami, wyścig się opóźnia, chłopska natura przemaga wszelkie względy. Stefanek, czując zapach kiełbasy, nie może się oprzeć pokusie, wyciąga ją z za pazuchy i zaczyna zjadać, przy odgłosie wojskowej muzyki. Śmiech ogólny zwraca uwagę Serafina; spostrzegł barbarzyństwo chłopca, przyskakując do niego i okładając szpicrutą, woła:

— Rzuć to!

— Jasnie panie, kiełbasa smakowita, odpowiada Stefanek, i zwijając się pod dokuczliwymi razami, z chłopskim specyałem rozstać się jednak nie może.

— Rzuć zbrodniarzu! krzyczy zrospaczony Serafin i wydziera kiełbasę, a Stefanek puszcza konia i prosi się, aby mu jeszcze choć krzynekę pozwolił ukąsić.

Jednym i drugim uderzeniem Serafin powala Stefanek na ziemię, sam dosiada konia i za odezwaniami

się dzwonka, puszcza się na wyścig z przeszkodami. Ale chłop, znając narowy angielszczyka, których go sam w krótkim czasie nauczył, a pragnąc się zemścić za swoją krzywdę, gwizdnął przeciągle, i Trumbulmar przed samą przeszkodą stanął jak wryty. Pan Serafin w rozpaczę tłucze go nogami, okłada szpicrutą, woła, prosi; ale wszystko nic nie pomaga. W ostatnim szale wzywa pomocy swego stronnictwa, które w oka mgnieniu przypada do konia i tysiącem rąk chce go zmusić do przebycia przeszkody; lecz koń co się namyśli, to gwizd Stefanek, który leżąc na ziemi śmieje się serdecznie, osadza go na miejscu. Tymczasem policja rozpedziła stronnictwo pana Serafina, wyścig skończony, a hrabia Gniłko zaproponował nowy kurs bez przeszkody.

Pan Serafin chętnie się zgadza, płaci stawkę za siebie i za trzech swoich rywali, staje na nowo do wyścigu i za protekcyą hrabiego, mając do czynienia ze szkapami, które po ubieżeniu trzydziestu kroków wstrzymały się na miejscu, sam jeden przebiega szranki i najpierwszy staje u mety.

Tryumf wielki! Stronnictwo w górę podnosi pana Serafina, a ten ze złożonymi na piersiach rękami, ze skromniutką miną, dziękuje publiczności sypiącej brawo. Trumbulmar zaś hrabia Gniłko poprowadził przed publiczność i głosem właściwym tylko ludzom niepospolitym, wolno i z godnością powiedział:

— Trumbulmar, potomek ognia, wnuk wody, w kraju zrodzony, krew wyższa nad szlachetną! Pan Serafin Wietrzycki!.....

Scena III. W hotelu angielskim i na ulicy.

Hrabia na cześć pana Serafina w hotelu angielskim wyprawia obiad, za który sam podejmowany zapłaci. Ojciec z synem siedzą na dwóch wzniesionych miejscach, słuchają oracyi, dziękują za zdrowia, nie posiadają się z radości; aż w końcu pocziwy starowina zalewa się łzami, gdy hrabia, z ogromnym kielichem w ręku, powstał i przy grobowej ciszy wydeklamował:

Cześć tobie, mężu, co służąc krajowi,
Tłuczesz swe ciało na grzbiecie anglika!
Jeżdżąc w zokiejce, służysz narodowi,
Bo ścigasz Turka, który już nie zmyka!

Kto siac pragnie, niechaj sieje,
Lada burza ziarno zwieje.
Nasze kursa więcej warte,
Wygrasz, przegrasz, niby w kartę.

Kiedy mamy konie rącze,
Wiatr doścignąć nas nie zdoła,
Ni wierzyciel, ni psy gończe,
Ni komornik, ni nikt zgola!

A więc laury mu na skronie!
Przodków sławy nie zatracił.
Będzie bczony i po zgonie,
Że ojczyźnie dług wypłacił!

Gdy hrabia skończył, grad wiatów sypnął się bohaterowi, na czoło którego włożono wieniec dębowy.

O godzinie pierwszej z północy posępne mury poważnej Warszawy ze zdumieniem patrzyły na tryumf ojca i syna. Niebo zasiało się gwiazdami, aby dodać blasku wspaniałej processyi, na czele której szedł pan Serafin, prowadzony pod ręce przez sportmanów; laur zdobił jego czoło, usta jeszcze coś szeptały, lecz nogi zapomniały swego obowiązku. W drugiej parze szedł pocziwy ojciec, a choć także szukał wsparcia na obcych ramionach, głowę tak wysoko zadął, jakby czuł, że dorasta niebieskiego sklepienia: widocznie krew szlachecka zaczęła się przerabiać.... w drożdże.

Scena IV, ostatnia i najsmutniejsza.

Dwa tygodnie jeszcze Serafinek za ojcowskie pieniądze hulał po Warszawie; nareszcie zastanowił się, gdy już i w hotelu dawać na kredyt nie chcieli. Rodzina, obliczywszy swoje fundusze, zdecydowała, że teraz już pora aby Serafinek oświadczył się hrabiance. Zgodnie więc z wnioskiem rady familijnej, młody Wietrzycki siada na swego Trumbulmara, i pewny powodzenia jedzie do panny. Hrabia Gniłko od kilku dni spostrzegł, że fundusze Serafinka zupełnie się wyczerpały; pod pozorem więc szanowania zdrowia, odsunął się od niego i udał, że zaniechawszy wszelkich uczt i pijatyk, spokojnie siedzieć będzie w domu. Oporządziwszy jednego szlachcica, nie mógł na prędcę znaleźć drugiego. Po skończonym też jarmarku nagle pewnej nocy opuścił Warszawę, udając się do Wilna na nowe kursa wyścigowe; siostra zaś

odjechała na wieś do bezdzietnej ciotki. Serafinek najokropniej się zdziwił, gdy się o tém dowiedział. Zasmucony powrócił do rodziny, i złorzecząc wszystkim Gniłkom, zaproponował na wzór hrabiego ucieczkę z Warszawy. Ojciec aż włosy wyrwał sobie z głowy; matka radziła podać skargę do sądu; siostra zaklinała aby tej sprawy nie rozmazywać, bo to może źle wpłynąć na jej karierę; wszyscy zaś zgodzili się aby zaspokoiwszy wierzyteli datkiem i rewersem pod osobistą odpowiedzialnością, nazajutrz nocą opuścić przekłętą Warszawę.

Wówczas i ja zgłosiłem się po swoje 2,400 złotych, a widząc że nie są w możności i setnej części mi zapłacić, zaproponowałem kuzynkowi, aby za całą sumę nadał mi prawo opisanie jego wyprawy.

— Jaktó, Kaziu drogi? zawołał ojciec Serafinka, chciałbyś nas opisywać?

— Cóż to kuzynkowi szkodzi? skwituję się na czysto.

— Dobrze to jest, ale widzisz, ludzie z nas kpić będą.

— Jeden zakpi, drugi się rozśmieje, a trzeci skorzysta.

— Czy myślisz żeby ten nasz przykład mógł kogo nauczyć?

— Zapewne, niejeden uchroni się bankructwa.

— Więc pisz! ale przynajmniej rąb prawdę z góry.

— A zachęcać do wyścigów?

— Co? niech się sobie ten ściga, kto się leni orać; powiedział ze zgrozą i boleścią pocziwy szlachcic, porwał dębowy wieniec, zgniótł go w obu rękach i wyrzucił na ulicę przez otwarte okno.

Przed wieczorem Wojciech wszedł do numeru i zapytał co robić z czterema folwarcznymi szkapami.

— Co? po dziesiątej zaraz zaprządź do powozu, a teraz podsypać im obroku, niech na drogę dobrze podjedzą.

— Proszę pana, mówił Wojciech skrobiąc się za ucho, szkapiny już nie łakome obroku.

— Napasłeś je?

— Et, gdzie tam, ale one już nie do jadła.

— Co ty gadasz?

— Ot, co tam długo kręcić, wszystkie szkapiny zeszlęj nocy zadechły.

— Zadechły! wrzasnęła cała rodzina, a nieustraszony Wojciech dalej rzecz prowadził:

— Stefanek, proszę jaśnie państwa, od tygodnia nie dawał im i ziarenka obroku; rzucił tylko garstkę siewki, a czyste ziarno wynosił do szynku. Ja go kalkulowałem, ale on powiedział, że jemu trza żyć jak każdemu panu należy, boć on nie chłop, kiedy przez trzy dni jadł ino rosoly i pieczonki. To też Stefanek żył jak pan, ino likier i marcypony, a katarynce kazał wygrywać po całych nocach.

— Daj mi go tu! skórę z niego ściągnę! zakrzyknę Serafin.

— Ba! kiedyć bo i on miał rozum. Czmychnął dzisiejszej nocy i widać powędrował daleko, bo zabrał z sobą wszystkie manatki.

W takim stanie rzeczy państwo Wietrzyccy nie wiedzieli co począć. Straciwszy ostatni cugowy zaprząg, przemysłiwali nad tém, jak się do domu dostać. Kupić nowych koni niema za co; sprzedać angielszczyka i arabszczyka nie warto, bo znarowione przez Stefanek, nie znajdują na siebie kupca. A więc niema innej rady, tylko do ogromnej landary zaprządź owe zagraniczne klejnoty. Na taką propozycyą Serafinowi i pannie Klarze aż łzy stanęły w oczach, ale w końcu uledez musieli smutnemu przeznaczeniu.

O godzinie jedenastej bramy hotelowe się roztwarzały i wytoczył się na ulicę żółty powóz, ciągniony przez Trumbulmara i Kokikiszkę. Wojciech, nie czując dla szlachetnej rasy żadnego respektu, podcinał wyścigowców tak silnie, że Serafinek zmuszony był kułakiem skłonić go do przyzwoltszego obchodzenia się z pohąnbionymi stworzeniami, a panna Klara głośnym westchnieniem ubolewała nad losem swego arabszczyka.

Wewnątrz powozu nieszczęśliwa rodzina siedziała w grobowym milczeniu; dopiero na moście niezbyt życzliwe pożegnania przesłali Warszawie i przysięgli uroczyście, że już nigdy nie wrócą na mokotowskie pola....

